



Moja droga do Prawdy

„JEŚLI PAN JEST BOGIEM, IDŹCIE ZA NIM”

Urodziłem się w 1925 r. w Sojczynie Borowym niedaleko Ciemnoszyj (woj. podlaskie) jako najstarszy syn z pięciorga dzieci w biednej chłopskiej rodzinie. Matka była pomocnicą w kościele, tak więc w domu wpajała nam zasady wiary katolickiej, nie dbając o wykształcenie dzieci. Jako młodzieniec lubiłem wypić i zapalić, nie pomagały prośby rodziców, bym to rzucił, bo szkodzi zdrowiu. Dzięki Bożej opiece wojnę przeżyliśmy dość spokojnie, choć zniszczeń nie brakowało w gospodarstwie. Nie mieliśmy pieniędzy, a że w naszej rodzinie mieliśmy fachowca, który za darmo zgodził się nam pomóc przy odbudowie, rodzice zmuszeni byli go prosić o pomoc, choć wiedzieli, że jest innego wyznania. Był to nieżyjący już obecnie Aleksander Organek mieszkający w Ciemnoszyjach, ok. 3 km od Sojczyna. Był rok 1947, gdy rozpoczęliśmy z nim pracę, a ja wieczorami długo słuchałem jego opowiadań o planie Bożym, Jezusie, Jego ofierze i zmartwychwstaniu. Bardzo to mnie zaciekawiło i od razu rzuciłem palenie i picie, ku zdziwieniu rodziny. Pewnego razu wybrałem się na takie zebranie do domu br. Olesia, ale nic nie rozumiałem z tego, co było tam mówione. Dostałem jednak broszurkę i Nowy Testament, który zaraz rodzice w trosce o moje „dobro” zniszczyli. Na drugą niedzielę, gdy wybierałem się tam znowu, choć miałem ponad 20 lat, dostałem lanie od ojca, który tłumaczył mi, że przynoszę hańbę rodzinie, bo po wiosce rozeszła się wieść, że syn Organka przystał do „kociej wiary”. Uciekłem z domu i znów byłem na zebraniu, postanowiłem zostać u br. Olesia. Rodzice po jakimś czasie zrozumieli, że złą obrali metodę i przyszli prosić mnie, abym wrócił do domu. Zgodzili się też na mój warunek, że nie będą mi niczego zabraniać, ale to było tylko pozorne.

Zbliżał się czas konwencji w Plutyczach, więc wieczorem zacząłem się do niej przygotowywać. Mój brat zauważył u mnie w kieszeni Nowy Testament i zabrał mi go. Postanowiłem mu go odebrać, gdyż już 2 razy wcześniej zniszczyli mi, a była to cenna rzecz dla mnie, więc powstała szamotanina. Drugi brat pobiegł do ojca, który kosił trawę, mówiąc, że Franek robi bunt w domu. Ojciec w złości z kosą przybiegł do mieszkania i zamierzył się na mnie. Na to wszedł sąsiad, który usłyszał wrzawę i wyrwał ojcu kosę, wtedy ojciec złapał za siekiere i podniósł ją na mnie. Ja wtedy powiedziałem, że 22 lata służyłem wam jako najstarszy syn, a wy mi złem za dobro odpłacacie. Ojciec znowu chwycił za ciężarek i zamachnął się na mnie, ale sąsiad zastąpił mnie sobą, po czym ciężarek roztrzaskał stojącą obok

ławę.

Wybiegłem z domu. Zacząłem się modlić. W tym czasie rodzina zaczęła czytać Nowy Testament, fragment z Objawienia o bestii, co miała ranę od miecza. Przeciwnik podsunął im taką myśl, że badacze Marię uważają za tę bestię w związku z obrazem, co ma 2 szramy na twarzy. W domu zaś znajdował się taki ołtarz z obrazem, więc zaraz po powrocie do domu rodzice oświadczyli mi, że mam uklęknąć przed tym obrazem i prosić o wybaczenie za moje zachowanie, przeprosić rodziców i przyznać, że byłem opętany. Przeszedł mnie dreszcz i zaraz przypomniałem sobie historię z księgi Daniela o trzech młodzieńcach przed posągami. Poprosiłem, że muszę wyjść za potrzebą, zabrałem ze strychu garnitur i zacząłem uciekać przez las. Rodzina na odgłos rzuciła się za mną w pogoń. Gdy mnie gonili, spotkali tego samego sąsiada, idącego z koniem, i chcieli pożyczyć konia, aby mnie złapać, ale on stanowczo odmówił i tym samym znowu pomógł mi. Znalazłem schronienie u br. Olesia, który pożyczył mi koszulę, buty i pieniądze na bilet do Białegostoku. Kiedy zobaczyłem, ilu jest jeszcze braci w Białymstoku, moje serce się uradowało i podniosłem się na duchu.

Konwencja w Plutyczach odbyła się u br. Aleksiejuka, a do usługi przyjechał br. Grudzień i br. Gumieła, który usłużył wykładem „I długoż będziecie chramać na obie nogi? Jeśli Pan jest Bogiem, idźcie za nim”. Od razu zdało mi się, że te słowa są wypowiedziane wprost do mnie. Zrozumiałem, że powinienem podjąć decyzję, bo wiedziałem, że Bóg jest Bogiem prawdziwym, a w kościele katolickim panuje bałwochwalstwo. Wtedy postanowiłem, że się poświęcę Panu Bogu na służbę. Dwa tygodnie później, na konwencji w Ciemnoszyjach 16 sierpnia 1947 r. wraz z 16 innymi osobami przyjąłem symbol chrztu. Nie miałem już po co wracać do domu, zamieszkałem więc u brata Olesia już na dobre wraz z jego 6 osobową rodziną w małym domku.

Przez lato pracowałem u br. Glebów, potem u br. Wyłudów za parobka i tak do jesieni 1948 roku. Pewnego razu podczas młócenia pokaleczyło mnie dość poważnie, a rany źle się goiły. Wypadek ten poruszył serce rodziców. Zasięgnęli oni rady u misjonarzy przebywających akurat w Grajewie, którzy orzekli, że skoro obrałem sobie drogę służby Bogu, to trzeba wziąć mnie do siebie i pamiętać, że wciąż jestem ich synem. Wtedy przyszedł mój brat ze słowami od rodziców: „Chodź do domu, bo teraz już rodzice zmienili zdanie i chcą, abyś był w domu”. Nie chciałem wracać, gdyż miałem na pamięci złamane obietnice rodziców co do mojej wolności wyznania, ale poszedłem z nadzieją, że Pan mi



we wszystkim pomoże.

Kiedy mieszkałem u brata Olesia przez 1,5 roku, nieczęsto, ale zachodziłem do rodzinnego domu. Mama litowała się nade mną, zawsze coś dała, ale ojciec był surowy. Kiedy więc zjawiłem się w domu, ojciec przywitał mnie z kamienną twarzą i powiedział: „Ta woda w tej rzece lepsza była od tej, którą polewali ci na głowę”. Nie chciałem rozpałać na nowo ognia, więc poprosiłem, ażeby dał mi spokój, jeśli chce, abym tu był. I tak się stało - od tej pory miałem względny spokój. Zaraz też w grudniu wybrałem się na konwencję do Lipia. Wróciłem do swoich domowych obowiązków w gospodarstwie i tak od jesieni 1948 r. do wiosny 1957 r. przebywałem już w rodzinnym domu. Najmowałem się do różnych prac, nawet do takich, o których nie miałem pojęcia, ale br. Oleś stale mi pomagał i uczył mnie, dzięki czemu robota razem szła nam bardzo dobrze. Wkrótce sytuacja w domu zmieniła się - ze względu na dobrą pracę, stałem się głównym żywicielem rodziny. Karta się odwróciła: jak byłem zniechęcony, tak teraz zadowolenie rodziców nie miało granic.

Ja jednak źle się z tym czułem, targało mnie sumienie, że jestem wierzący, poświęcony i odpowiedzialny za to, co otrzymałem od Boga, powinienem używać tego tak, by Mu się to podobało. Chciałem gdzieś odejść, ponieważ rodzice moje zarobione pieniądze oddawali na msze i na „moloča”, a na to przystać nie mogłem. Tak więc myślałem, by Bóg tak wszystkim pokierował, bym jakoś z tego domu mógł się usunąć, założyć własną rodzinę. Pewnego razu w Plutyczach odbyło się większe zebranie, gdzie zjechało się wiele braci. Ja z rodziną brata Olesia trafiliśmy na nocleg do domu samotnej, starszej już siostry Borowskiej. Wieczorem przy poczęstunku niechący zbiłem porcelanowy kubek. Brat Oleś zażartował, że teraz muszę za niego odpracować. Tak się złożyło, że wkrótce była robota przy młóceniu zboża i niedługo potem zjawiłem się z powrotem u siostry Borowskiej. Siostra była bardzo zadowolona z wykonanej pracy i wkrótce zaproponowała, żebym zamieszkał u niej, bo będąc bez rodziny chciała dokończyć swoich dni przy mnie. Nie była to jednak prosta decyzja, a nikt doradzić mi nie chciał, jak miałem postąpić. Później, gdy dowiedziałem się od brata Sołowieja o złym stanie zdrowia tej siostry, od razu wybrałem się do Plutycz. Zrobiło mi się jej żal i postanowiłem jednak tu zamieszkać, wierząc, że Bóg będzie mi

dopomagał.

Na początku 1958 r. ożeniłem się ze Stefanią Makarzec ze zboru w Wydminach i zamieszkaliśmy razem w Plutyczach u siostry Borowskiej. Urodziło się nam pięcioro dzieci. Nasza rodzina i kilkoro braterstwa tworzyło niewielki zbor w Plutyczach. W miarę możliwości, na ile Pan pozwalał, jeździliśmy na konwencje, utrzymywaliśmy społeczność braterską. W 1972 r. poważnie zachorowała moja żona i cały ciężar spadł na moje ramiona. Do tego nieszczęścia dołączyły się problemy z moimi oczami, stale miałem stan zapalny. W 1985 r. wszyscy przeżyliśmy wielkie doświadczenie, gdy zmarła nasza córka Janina. W 1991 r. choroba moich oczu bardziej się nasiliła i z tego powodu długo przebywałem w szpitalach, niestety choroba potęgowała się. Przewidywałem, że mogę stracić wzrok. Dlatego też postanowiłem wykorzystać ten czas jak najlepiej i uczyłem się wielu wersetów, psalmów i komentarzy „Manny”. W 1996 r. straciłem pierwsze oko, a rok później drugie. Pan obdarzył mnie dobrą pamięcią i dzięki temu obecnie mogę wykorzystywać dorobek duchowej nauki. W wolnych chwilach, przy bezsennych nocach lubię przypominać sobie teksty biblijne, różne myśli podawane przez braci. W niedzielę w miarę możliwości robimy sobie z żoną dwuosobowe nabożeństwo - słuchamy kaset z wykładami.

Teraz, kiedy spoglądam w przeszłość, to me serce ogarnia nieopisana wdzięczność Bogu za to, że bezustannie mogłem odczuwać Jego bliskość i pomoc. Ratował mnie z każdej sytuacji, nawet takiej, która wydawała się bez żadnej nadziei. Mimo że siły cielesne mnie opuszczają i ciało słabnie, duch pragnie jeszcze karmić się prawdziwym Słowem Bożym. Oprócz doświadczeń i cierpień na me życie składa się także wiele radości. Dziękuję Bogu za to, że pozwolił wychować mi i małżonce dzieci w Prawdzie, które także starają się swoim dzieciom wpoić jak najwięcej nauk o Bogu i Jego planie, a my dążymy do tego, by im w tym dopomagać. Niech więc chwala będzie Wiekuistemu Ojcu za wszystkie łaski i błogosławieństwa, jak również otrzymane chwile doświadczeń.

Organek Franciszek
R-
„Straż”